

NA DROGACH I BEZDROŻACH ŻYCIA. SZKICE Z MOTYWÓW WĘDROWNYCH W MALARSTWIE I LITERATURZE

Przez trzęsawisko wiedzie do boru ścieżka długa, niezmierna. Kto ją wydeptał? – Człowiek, pierwszy, który się tu pojawił. Przed jego przybyciem nie było jej jeszcze. Później wątlym jego śladem podążyło poprzez bagna i trzęsawice zwierzę jedno i drugie. (...) Tak powstała droga nie należąca do nikogo, wiodąca przez rozległą ziemię bezpańską.

Drogą tą kroczy w kierunku północnym człowiek. Dźwiga worek, a w nim zapasy żywności i trochę narzędzi rzemieślniczych. (...). Śpieszy może wprost z więzienia i pragnie się ukryć, a może jest filozofem i szuka spokoju. Dosyć, że tu wśród tej przeogromnej samotni znalazł się człowiek. Idzie naprzód i idzie, a dokoła cisza, ani ptak się nie odezwie...(...) Gdy podczas wędrówki natrafi na mokradła i większe płaszczyny lub polany leśne, zdejmuje worek, obchodzi dookoła i bada ziemię. Po chwili wraca, zarzuca worek na plecy i idzie dalej. Tak robi przez dzień cały bez przerwy. Według słońca poznaje porę dnia, a gdy noc zapadnie, kładzie się we wrzosowisku i zasypia z głową na ramieniu.

Knut Hamsun¹

Człowiek, w rozumieniu P. Ricoeur'a, jest „świadomością nieszczęśliwą”, jego istnienie bowiem jest wynikiem „rozłamu pomiędzy porządkami: nadprzyrodzonym, naturalnym i ludzkim”². Antropogeneza była dramatycznym momentem spowodowanym utratą „niepodzielnej pełni”, jaka poprzedzała rozpad, „jedni”, ku której człowiek, ograniczony kształtem, czasem i przestrzenią, na różnych płaszczynach własnego istnienia kierował swoje kroki. Stając się bytem odrębnym i uświadamiając sobie własną oddzielność w rzeczywistości, nie stracił jednak łączności z prabytem, ani też intuicji, pozwalającej mu wkraczać na drogi, wychodzące poza obszar bezpośrednio doświadczanego świata. Na zakrętach życiowych doświadczeń, na rozwiłdleniach ziemskich decyzji i w sytuacjach kryzysowych implikujących ból, stawał na przedpolach Transcendencji, w zawilościach dróg widząc szyfr Nieznanego, w świecie danym mu do przeżycia, klucz do pozazmysłowej rzeczywistości.

¹ K. Hamsun, *Błogosławieństwo ziemi*, tłum. Cz. Kędziński, LSW, Poznań 1986, s. 5.

² P. Ricoeur, *Symbolika zła*, tłum. S. Cichowicz i M. Ochab, PAX, Warszawa 1986, s. 159.

Na rubieżach i w centrach nie zawsze gościnnej, ziemskiej przestrzeni, czasami na terenach oddalonych od doczesnych spraw, istniały szczególne przestrzenie, obszary dające metafizyczny spokój albo ciszę dla mistycznego przeżycia. Jedni doświadczali wagi tych miejsc w bezkresach mórz, inni, w pustelniach odległych od siedzib ludzkich. Świeccy i święci anachoreci, mocą własnych decyzji, bądź w wyniku sytuacji stworzonych przez los, wycofywali się z życia publicznego, w ciszy pustkowiec znajdując sens swojego istnienia. Niektórzy z pustelników żyli w osamotnieniu tylko przez jakiś czas, inni, w odosobnieniu wiedli niemal całe swoje życie, oddając się wyrzeczeniom, rozmyśleniom i ascezie.

Paweł Tebańczyk przyszedł na świat w rodzinie zamożnej i doceniającej wagę wiedzy, wyniósł z domu, zarówno gruntowne odczytanie, jak i majątek, który z czasem, w narastającej fali prześladowań chrześcijan, stał się przyczyną decydującej w jego życiu ucieczki. Choć decyzja odejścia ze świata wiązała się z życiową koniecznością i podszyta była strachem, na pustyni, w surowej i bezkresnej przestrzeni, dokonała się wielka przemiana uciekiniera. Za sprawą objawienia Boskiej woli, pustkowiec stało się bezpiecznym azylem, jaskinie dawały dostęp do owoców palmowych i źródeł krystalicznej wody, a cudowny kruk codziennie dostarczał chleb. To tutaj, w miejscu zapomnianym przez ludzi, ale danym od Boga, dawny zbieg usłyszał powołanie do życia, wypełnionego milczeniem i myślą kierowaną ku Niebu. Odsunął się od świata, stąd i jego pustelniczy żywot nie był światu znany. Obwieścił go jednak innemu pustelnikowi, świętemu Antoniemu, cudowny sen.

Widzenie kazało Antoniemu przywdziać pielgrzymi strój i ruszyć w drogę, której kierunek wskazali hipocentaur i wilczyca oraz światło, jaśniejące u celu drogi. W surowym pejzażu, bliskim może temu, jaki Grünewald oddał na bocznych skrzydłach ołtarza z Isenheim³, anachoreci wiedli noc i dzień, pożytkując czas na święte rozmowy. Nie miały one jednak trwać długo. Czcigodny Tebańczyk, który kiedyś ruszył samotnie w drogę, by na odludziu schronić się przed złem, poczuł, że zbliża się czas jego ostatniej podróży, podróży duszy do nieba. Zostawił ziemskie życie znaczone czasem modlitwy, posiłku i snu, zostawił tunikę z sitowia, skór i palmowych liści, i odszedł, by, z niczym, co ziemskie, stanąć przed Bogiem.

Drogą ku Najwyższemu szedł dalej jego brat w służbie Bożej, Antoni. Zrzekł się kiedyś dóbr doczesnych i, jako miejsce medytacji, modlitw i ascezy, wybrał egipską pustynię. Życie świętego, znane z relacji biskupa Aleksandrii, świętego Atanazego, w XIII wieku spisane na kartach *Złotej legendy* przez Jacques'a de Voragine⁴, choć szczerym pragnieniem anachorety orientowane w stronę Nieba, naznaczone było epizodami duchowej walki, toczonych między

³ M. Grünewald, *Ołtarz z Isenheim*, 1512–1516, Musée d'Unterlinden, Kolmar.

⁴ J. de Voragine, *Złota legenda*, tłum. J. Pleziowa, Prószyński i S-ka, 2000.

wymogami religii a szturmami pokus piekielnych. Rękawicą rzuconą diabłu stała się decyzja świętego, decyzja odwrócenia się od zła i całkowitego oddania duszy Bogu.

Zło, rozumiane jako siła przeciwstawna Boskiej potędze i dążąca do objęcia władzy nad światem, jako pierwszy, wcielił staroperski bóg ciemności Aryman, który w religii żydowskiej przyjął nazwę Szatana i pod tym też imieniem wszedł na stałe do myśli chrześcijańskiej, stając się „Księciem tego świata”⁵. Choć przedstawiano go często jako węża, najwięcej jednak emocji wzbudzała jego postać apokaliptyczna, postać smoka ziejącego ogniem, gadokształtnego stwora, podobnego temu, którego Grecy postawili u bram Hadesu. Szatan, odziany w skórę antycznie-apokaliptycznego *drakona*, chętnie zmieniał swoją postać. Wyobraźnię ludzką pociągała w szczególności jego diabelska inkarnacja w kozłą bestię z kopytami, z jaszczurzym ogonem, z pazurami, oczami rozpalonymi do czerwoności i siarczanym oddechem Piekła. Fundamentalnym atrybutem szatańskiego oblicza były rogi, wiążące się bezpośrednio z nowym imieniem demona, *diábolos*, które w języku greckim wskazuje na oszczercę i półkole. Diabeł był więc tym, który dzielił koło na dwie, podobne do księżyca albo rogów części, rozdzielał to, co było jednością, kłócił z sobą to, co było pierwotnie zespolone. W takiej postaci i z misją wynikającą z imienia pojawiał się na scenie życia ludzkiego. Jednym z najbardziej ambitnych wyzwania szatańskich było zniszczenie Boga w tych, którzy Boga tego umiłowali najbardziej a przestrzeganie boskich praw, czynili drogowskazem własnego życia. Cała armia demonów, wysłanników Piekła wyruszała zatem w ziemski świat na podbój uświęconych myśli i Niebu oddanych serc.

Fortecą szczególnie wartą zdobycia stał się, zatem, i święty Antoni, który uwierzył, że samotność, porzucenie ziemskich namiętności i oddanie się medytacjom pozwolą mu zbliżyć się do Boga. Egipskie odludzie, gdzie święty zamierzał wieść ascetyczne życie, stało się jednak sceną tłoczną, nie od ludzi, ale od pokus, które pod postaciami straszliwych demonów katowały świątobliwą myśl. Żądze, odnotowane w wizjach H. Boscha, P. Bruegela, M. Grünewalda, F. Ropsa czy A. Kubina wykazywały wyjątkową fantazję w dobieraniu dla siebie szat. Raz przybierały kształty dzikich zwierząt, wilków, bestialskich płazów, gadów, skorpionów, nietoperzy, węży i żmij. To znów nie wahały się użyć ciał hybrydalnych tworów, rybo-ssaków, sowo-ludzi, ropucho-płazów, żółwio-jaszczurek i mucho-myszy. Sięgnęły wreszcie po wyjątkowo udane narzędzie Piekła, piękny i kształtny argument, jakim było ciało niewieście.

W wizjach malarzy północnoeuropejskich oblicza zła zrodziły się na gruncie ludowych wyobrażeń, jarmarcznych widowisk, bestiariuszy średniowiecza,

⁵ *Ewangelia św. Jana*, 16, 11.

literatury mistycznej i moralizatorskiej oraz intuicji starożytnych. Najgłębsze swoje korzenie skrywały jednak w odległym czasie. W tysiącleciach lodowej zmarzliny potężne zwierzęta łowne budziły zarówno podziw, jak i strach. Były mocami silniejszymi niż człowiek, dysponowały bowiem siłą zdolną zarówno pokonać ludzi, jak i utrzymać ich życie. W nich była potęga i tajemnica, w człowieku, respekt dla ich ogromu. Respekt ten znalazł swój rezonans w późniejszych wierzeniach i mitach, gdzie ogromna rzesza nadnaturalnie wielkich olbrzymów ingerowała w ludzki świat, objawiając swoją, częściej okrutną niż dobroczynną moc. Były wcieleniami nadnaturalnych potęg natury, chaosu świata poprzedzającego kosmiczny ład oraz instynktownej strony osobowości człowieka. Wyciągnięte z mroków zewnętrznego i wewnętrznego świata ludzkiego, ubrane w widzialne kształty, jednych, fascynowały i zmuszały do intelektualnej penetracji swojej istoty, innych, osaczały, by w końcu całkowicie ich opanować.

Stawały się prawdą, w którą się wierzyło, choć wierzyć się nie chciało. W ciemnym księstwie człowieczych słabości, porządek wyznaczał im posłaniec najgłębszych rejonów ludzkich pragnień, marzeń i obsesji. Mieszał z sobą pobożne postanowienia i ciemne instynkty. Rozcieńczał ich istotność, by zagęścić jej konsystencję własną diaboliczną substancją. Istoty zwykłych doświadczeń, wciąż przywiązane do swojej ziemskiej cielesności, zaczynały przybierać cudaczne kształty, naśladując ludzi, ich poczynania i gesty. Te inkarnacje blasków i cieni ludzkich dusz, twory o na wpół ludzkiej, na wpół zwierzęcej postaci, nadrealne widziadła o somnambulicznej i dionizyjskiej ekspresji, potęgowały ludzki strach, rozjątrzały grozę, wiodąc zarówno grzesznych, jak i świętobliwych w coraz głębszą otchłań grzechu i absurdu.

Surrealna ich kompania, z wściekłym monstrum na czele, pojawiła się na bocznym skrzydle ołtarza z Isenheim⁶, nacierając na świętego całym arsenałem cierpień kierowanych w stronę pokutującego, jego ciała i ducha. Podczas, gdy w wizji M. Grünewalda krąg potworów ciągnie męczennika za włosy, bije go, depta i podgryza przyciskając ofiarę do ziemi, w widzeniu L. Cranacha święty, unosząc się nad pogodnym krajobrazem, odbywa czarci lot, wszczęty przez hybrydy ludzko-zwierzęce, węzowate ważki i ptako-ryby.

Najbardziej wyszukany jednak legion posłanników Piekieł pojawił się w lizbońskim tryptyku H. Boscha⁷, gdzie sztab tworów, poczętych z „obłędu, samotności świętego, jego pokuty i umartwień”⁸, opanował wszelkie dostępne widzeniu i pokątne przestrzenie Antoniego. Są „Szaleństwem przeistoczonym

⁶ M. Grünewald, *Ołtarz z Isenheim*, op. cit.

⁷ H. Bosch, 1505–1506, Museu Nacional d'Arte Antiga, Lizbona.

⁸ M. Foucault, *Historia szaleństwa w dobie klasycyzmu*, tłum. H. Kęszycka, PIW, Warszawa 1987, s. 31.

w Pokusę”⁹, wszystkim tym, co w tworze zrodzonym z obłądu, jest „niepojętego, fantastycznego, nieludzkiego, wszystko, co w nim jest przeciwnego naturze i co oznacza mrowie bezsensu rozpełzłe na ziemi”¹⁰.

Sam eremita, w części centralnej tryptyku, zajął miejsce klęczące przed ruinami „świątyni”, na niewielką odległość odsuniętymi od płonącego miasta, gdzie potoczne życie toczy się codziennym trybem pod niebem rozgorączkowanego horroru. Rozlatującą się kaplicę wieńczą dziko rosnące krzaki oraz wąskie schody, które prowadzą donikąd. Posadzka „Domu Bożego”, niczym „estrada taneczna złych duchów jest srebrzyście szarą, pustą płaszczyzną, niczym tafla lodu, po której chodzić nie wolno, gdyż pod błyszczącą powierzchnią z ponuro prześwitującymi głębiami kryje się otchłań”¹¹.

Tuż przed pustelnikiem, jedyną istotą, która w tym diabelskim tyglu pozostała człowiekiem ukształtowanym na obraz i podobieństwo Boże, twór pozbawiony rąk i tułowia, usiłuje podnieść kielich, podtrzymywany kolanami. Szykownie ubrane wiedźmo-kapłanki, tuż za plecami czcigodnego, odprawiają sobie tylko znany kult, podczas, gdy na różowo wystrojona elegantka, całą długością swojego ciała przywiera do zgrzebnej sukni świętego. Nieco dalej, muzykant z wisiorami kroczy przed siebie, dumnie unosząc głowę o świńskim ryju. Za nim, jakaś erynia w czerwonych skarpetkach i koronie z wierzbowego pnia, pnia drzewa czarownic, pędzi na oślep do przodu, uzbrojona w jad ziejący z paszczy potwora i rękawice pancerne. Podąża za nią służebna z totemem, kołem kata, zwieńczonym nogą umarłego i krukami. Nieco dalej przed nią, somnambuliczna kreatura podróżuje na łuskowatym szczurze a kapłano-ministranci, jeden z lejkiem, drugi z ptasim gniazdem na głowie, czytaniem poczemniałej księgi celebują czarcią mszę¹².

Wizje szaleństwa i inkarnacje ludzkich występków dopadły świętego, nie w świecie rojnym od ludzi i w bliskości ich spraw, ale na rubieżach występnego życia, z daleka od wszystkiego tego, co rodzi grzech. Wędrowca, którego wizerunek H. Bosch umieścił na skrzydłach zamkniętego Tryptyku *Wozu z sianem*¹³, zaniepokoiły w samym niemal centrum świata, tam, gdzie wesoła zabawa wieśniaków sąsiaduje z rabunkiem, dokonywanym w biały dzień. Świat ten rozciągnięty został pomiędzy dwoma kluczowymi obrazami, niczym kapliczkami przydrożnymi, ku którym winna zwracać się myśl każdego wędrowca. Jeden z obrazów, górujący nad pejzażem, koncentruje się w znaku szubienicy, przypominającym o karze czekającej u kresu wszelkich zbrod-

⁹ M. Foucault, op. cit., s. 31.

¹⁰ M. Foucault, op. cit., s. 31.

¹¹ Zob. też: W. Fraenger, H. Bosch, red. A. Czeszunist-Cicha, Arkady, Warszawa 1987, s. 326.

¹² Zob. też: W. Fraenger, *Kuszenie św. Antoniego* (Muzeum Narodowe w Lizbonie), (w:) H. Bosch, red. A. Czeszunist-Cicha, op. cit., s. 323–395.

¹³ H. Bosch, *Wędrowiec (Wóz z sianem)*, 1500–1502, Prado, Madryt.

ni. Drugi, leżący u stóp przechodnia, niejako u podstaw wszelkich ludzkich kroków, zamknął się w scenie ścierwiska, zwapnianych kości, wron zlatujących się na posiłek i psa szczekaniem broniącego resztek padliny. Wędrowca, przestraszonego dosadnym napomnieniem, nie mają odwagi imać się pokusy. Odwrócony od nikczemności, w podartym ubraniu, z kijem wędrownym i koszem podróżnym zarzuconym na plecy, chociaż przestraszony, idzie dalej swoją drogą, tuż obok człowieczego szaleństwa i obok kładki przerzuconej nad rzeką przemijania¹⁴.

Jeśli w *Wędrowcu* chciwość ludzka i bezwarunkowe prawo do korzystania z życia, choć realizowane pod znakiem szubienicy i ścierwiska, były tłem i napomnieniem na drodze obieżyświata, w *Statku szaleńców* H. Boscha¹⁵ pożądlivości te rozpisane zostały na role pierwszoplanowe. Zagrał je rozbawiony motłoch zebrany w ciasnej, jak ludzkie umysły łupinie statku, mającej dopłynąć do krainy szczęścia zrodzonej z zachłannej wyobraźni człowieka. Świątobliwi w habitach i świeccy śmiertelnicy, zapamiętali w samozadowoleniu i półprzytomni z przepicia, wygłodniali chudzielcy i opasłe obżartuchy nie najedzone nigdy do syta, cały ów różnoraki ładunek pasażerów unosi się po zielonym morzu mała morskiej przestrzeni. Podróż trwa a czas, razem z cudaczną łajbą, płynie pod proporcem zwisającego z „masztu” placka, na cześć którego wrzaskliwi śpiewacy wnoszą pijacki hymn. Ktoś, bez krzty oglądy, siedząc na uboczu popija zdobywczy eliksir. Ktoś chłodzi w wodzie bukłak. Przejedzony wymiotuje tuż obok czekającej na spożycie ryby a zawzięty grubas mocuje się z odległością, by dosięgnąć kurczaka, celu ostatecznego swojej morskiej podróży.

XV-wieczny poemat *Narrenschiff (Statek szaleńców)* strasburskiego humanisty i poety S. Branta, który mógł stać u źródeł malarskiego komediodramatu H. Boscha, piętnował wszelkie przywary ludzkie, rozpisane na ponad setkę szaleńców, płynących statkiem do osobliwej Narragonii. W karykaturalnym zwierciadle satyry odbijali się chciwcy, żarłocy i pijacy, gderliwi i wiarołomni, kłótlivi i samochwalcy, marnotrawni i kradzieżą pracujący na chleb, bałamutni, leniwi i skąpi do granic, w nieśmiałej nadziei autora, że cała ta, mało chwalebnie prezentująca się galeria osobliwości stanie się przestrogą dla tych, którzy jeszcze nie rozpoczęli swojej własnej podróży pod banderą głupoty odmienianej w stu dwunastu przypadkach.

Bosch nie liczył na skuteczność żadnej lekcji. Nad szaleńcami rozciąga się nie zapowiadające wiatrów niebo, a lekki podmuch powietrza zaledwie podnosi tańczący proporzec. Siła chochli służącej za wiosło, nie poruszy statku z miejsca, bowiem jedyny na pokładzie wiosłarz zajęty jest śpiewaniem peanu kuchennego. Tu nic nie zapowiada końca swoistej pielgrzymki do nigdy i nig-

¹⁴ Zob. też: W. Fraenger, H. Bosch, red. A. Czeszunist-Cicha, op. cit., s. 438–439.

¹⁵ H. Bosch, *Statek szaleńców*, 1490–1500, Luwr, Paryż.

dzie nie zaistniałej ziemi obiecanej. Hipertrofia ludzkiej głupoty na zawsze pozostanie własnością świata ludzi, a odwieczna tratwa szaleńców, będzie płynęła donikąd z ładunkiem pełnym złudnych majaczeń i pustą walizką skruchy.

Podróżni, zakotwiczeni w kałuży własnych wyobrażeń, w szaleństwie swoim o tyle są szczęśliwi, że nigdy nie dane im będzie poznanie goryczy powrotu. Gorycz tą natomiast dogłębnie przeżyli Judasz i syn marnotrawny, wędrowcy drógznaczonych srebrnikami i złotem.

Zdrajca z Kariotu, niegdyś jeden z apostołów Chrystusa, za trzydzieści srebrnych monet wydał Nauczyciela wysłannikom Sanhedrynu¹⁶. Pęknięcie jego drogi nastąpiło w chwili, gdy skazanie Jezusa uświadomiło mu wagę haniebnego czynu. Owładnięty poczuciem, porzucił pieniądze w świątyni i odszedł na zawsze z życia¹⁷. Chociaż jego historia, podobnie jak i postać, napiętnowana skazą zdrajców, znane były od czasów starego chrześcijaństwa, aż do płótna Rembrandta¹⁸ nie ujawniały dramatu duszy spętanej kolcami cierpienia. Rembrandtowski Judasz, niczym nędzarz, nie mający nic prócz bólu i braku nadziei na łaskę¹⁹, w szacie poszarpanej jak jego własna dusza i z dłońmi zaciśniętymi w rozpacz²⁰, klęczy pośród srebrników rozsypanych w świątyni ciemnej, jak otchłań jego własnej duchowej przestrzeni. Iskariota, którego wyobrażnia chrześcijańska na przestrzeni setek lat ubierała w szaty uszyte z tego, „co tylko można było wymyślić, jeśli idzie o niskie instynkty, najgłębszą przebiegłość, mrok przestępstwa i odrażające cechy charakteru”²¹, ten zdrajca, który strącony został w najniższe rejony Dantejskiego piekła, i który wyobrażany był zwykle jako „czarnowłosa, zachłanny Żyd, zły lis, którego brzydkie rysy nazaczył pazur szatana”²², w widzeniu Holendra był człowiekiem. Szedł drogą grzechu, zawinił, ale też poznał drogę cierpienia, bólu tak miazdzącego, że nie dało się z nim żyć. To nie upokorzona duma, nie pycha rzucona przez ludzi na kolana kuliła się w Rembrandtowskim mroku świątyni, ale rozpacz człowieka, który pojął ciężar swojej winy i konieczność odejścia, z ciężarem zła i bez przebaczenia.

Odpuszczenie winy, które nigdy nie stało się udziałem zabłąkanego z Karoitu, było światłem powrotnej drogi syna marnotrawnego do domu.

¹⁶ *Ewangelia św. Mateusza*, 26, 14–16.

¹⁷ *Ewangelia św. Mateusza*, 27, 3–5.

¹⁸ Rembrandt, *Judaszwracający srebrniki kapłanom*, 1629, Narodni Galerie, Praga.

¹⁹ Zob. też: F. Landsberger, *Rembrandt, the Jews and the Bible*, Philadelphia 1962, 2 wyd., s. 32, cyt. za: J. Białostocki, *Grzesznik jako bohater w sztuce Rembrandta*, (w:) tegoż: *Symbole i obrazy w świecie sztuki*, PWN, Warszawa 1982, s. 338.

²⁰ Zob. też: C. Huygens, cyt. za: J. Białostocki, *Grzesznik jako bohater w sztuce Rembrandta*, op. cit., s. 339 oraz *Rembrandt w oczach współczesnych*, red. J. Białostocki i J. Michałkova, Warszawa 1957, s. 45–49.

²¹ G. Buchheit, *Judas Iskarioth*, Gütersloch 1954, s. 29, cyt. za: J. Białostocki, *Grzesznik jako bohater w sztuce Rembrandta*, op. cit., s. 339.

²² G. Buchheit, *Judas Iskarioth*, op. cit. s. 339.

Opowieść biblijna nakreślona przez św. Łukasza przywołuje postać młodego człowieka, który pchany pragnieniem zaznania świata, wziął od ojca przypadającą mu część majątku i opuścił rodzinny dom. Nie długo jednak miał trwać czas jego dostatku, płynący rytem uciech życia i rozrzutnej wystawności. Nastąpiła pora cierpień i braku chleba. Pamiętając dostatni stół rodzinny, marnotrawca postanowił wrócić, ze skruchą i prośbą o przebaczenie. Ojciec zobaczył go, gdy tamten był jeszcze daleko, wyszedł mu na drogę i przyjął z ojcowską czułością. To dla niego, zbłąkanego i odnalezionego syna, miały być wyciągnięte najpiękniejsze szaty, sandały i pierścień. On, bowiem „był umarły, a ożył, zaginął, a odnalazł się”²³.

Przypowieść znalazła swoją chyba najbardziej wzruszającą trawestację w wyobraźni Rembrandta²⁴, dającą niedyskretny wgląd w chwilę spotkania ojca i syna, wizję, stworzoną u samego schyłku drogi życia malarza. To już nie obraz radosnego korzystania z dóbr świata, młodości, pieniędzy, zdrowia i urody, jaki na początku Rembrandtowskiej drogi twórczej utrwalił *Autoportret z Saskią*²⁵, przez niektórych badaczy uchodzący za scenę hulaszczego życia Syna marnotrawnego, ale samo jądro przebaczenia, definicja rozumienia wszystkiego, co ludzkie, kwintesencja bezwarunkowej i bezgranicznej miłości. W intymnym ciepłe domu rodzinnego, złoto nadnaturalnego niemal światła ślizga się po plecach grzesznika, okrytych znoszoną szatą. To do tego sukna, tak bliskiego, i tak niedosięgniętego zarazem, tęsknił przecież ów starzec, który teraz po suknie tym wodzi rękami. Jakaż dziwna to para rąk, dobrana jakby nie do pary, stanowiąca jednak absolutnie pełną parę, czulej dłoni matczynej oraz niezachwianej ręki ojcowskiej. Stopy powracającego jeszcze noszą ślad doświadczeń nierozsądnie wybranych kiedyś gościńców a sandał skrzypi pogłosem pokątnych dróg. Twarz chyba już niczego złego nie pamięta, wtulona w pierś ojca, zakryta cieniem wzruszenia, usypia ból, który odnalazł błogie ukojenie.

Rembrandt pokazał końcową stację drogi marnotrawnego. H. Bosch²⁶, w tondzie, znaku doskonałości Boskiej i symbolu medytacji, zawarł środkową. Marnotrawny syn znalazł się kiedyś na rozdrożu, w jakimś punkcie zwrotnym swojej życiowej drogi. Za szybko posiwiały, przedwcześnie przychyłony, wychudzony, w przetartym ubraniu, kroczy teraz przez zamknięty w kole świat. To, co stanowi cały jego dobytek to podróźny kosz, żebracza łyżka na strawę dla bezdomnych i kij strudzonego wędrowca. Przygnieciony ciężarem życia i lichych rzeczy, kieruje kroki w stronę solidnie skonstruowanej furtki, za którą rozpościera się łąka, strzeżona przez bydłatko, święte zwierzę ofiar-

²³ *Ewangelia św. Łukasza*, 15, 21–24.

²⁴ Rembrandt, *Powrót syna marnotrawnego*, ok. 1662, Ermitaż, Sankt Petersburg.

²⁵ Rembrandt, *Autoportret z Saskią*, ok. 1668, Staatliche Kunstsammlungen, Drezno.

²⁶ H. Bosch, *Syn Marnotrawny*, Museum Boymans-van Beuningen, Rotterdam.

ne, warunek Boskiego przebaczenia. Czas oświecenia i przemiany obwieszcza mu sroka, ptak duszy marnotrawca. Opuściła zamkniętą kiedyś klatkę, wiszącą u progu domu rozpusty, by na przedpolu nowych dni wskazywać drogę temu, który powraca. Czas manowców minął, ale marnotrawny syn jeszcze przez ramię zagląda na to, co stanowiło wypełnienie byłego życia, obrazowane szkieletami rozbitych okien, zastępem siedmiu św. pchających się do koryta i otwartą latryną za rogiem rudery, gdzie na ludzkich oczach dokonuje się oczyszczenie, wielkie *katharsis*, nie tylko ciała²⁷.

„Naturalną i wrodzoną naszą chorobą, pisał kiedyś Montaigne, jest zarozumiałość. Z wszystkich stworzeń najbardziej udręczony i najwątleszy jest człowiek zarazem najpyszniejszy. Czuje się i widzi wtłoczony tutaj przez błoto i gnój ziemi, uczepiony i przygwożdżony do najgorszej, najbardziej martwej i zgniłej części wszechświata, na ostatnim i najdalszym od niebieskiego sklepienia piętrze, wraz ze zwierzętami o najniższej z trzech kondygnacji, a w imaginacji przenosi się ponad krąg księżycy i strąca niebo pod swoje stopy. Ta sama próżność wyobraźni sprawia, że równa się z Bogiem”²⁸.

Owa próżność, przerodzona w wielką imaginację związaną z poczuciem życiowej misji do spełnienia, stały się ognikiem zapalnym, wszczynającym niszczący pożar w życiu Raskolnikowa, centralnej figury *Zbrodni i kary* F. Dostojewskiego²⁹.

Raskolnikow, bogi student, opanowany ideą wyższości swojego istnienia nad pogardzanym przez siebie życiem tych, którzy należą do „klasy niższych”, dopuścił się mordu rabunkowego na starej lichwiarce, aby czynem tym sobie samemu udowodnić, że on, Raskolnikow, nie należy do „mrowiska ludzkiego” i, jako silniejszy ma prawo do przekraczania moralnych norm. Chciał być Napoleonem, człowiekiem, który istnieje poza dobrem i złem. Zabił, zgodnie z planem trzeźwo przygotowanym, wszczynając tym aktem długi ciąg udręczeń. Choć ostatecznie przyznał się do mordu, poddanie się karze motywując poczuciem skruchy, skruchy nie czuł. Nie czuł też winy, choć czuć ją chciał. Widział „zbrodnię jedynie w tym, że nie wytrzymał”³⁰. „Sądził siebie surowo, ale zatwardziało jego sumienie nie znajdowało w przeszłości żadnej szczególnie okropnej winy, chyba tylko zwykłe chybienie, które każdemu mogło się przytrafić”³¹. Choć długo nie mógł znaleźć drogi na bezdrożach rozdartej duszy, nastał kiedyś dzień, kiedy na brzegu „szerokiej i pustej rzeki” wzru-

²⁷ W. Fraenger, *Syn Marnotrawny*, (w:) H. Bosch, red. A. Czeszunist-Cicha, Arkady, Warszawa 1987, s. 241–249.

²⁸ Montaigne, *Essais*, ks. II, rozdz. XII, wyd. Garnier, t. II, s. 188, cyt. za: *Historia szaleństwa w dobie klasycyzmu*, tłum. H. Kęszycka, PIW, Warszawa 1987, s. 43.

²⁹ F. Dostojewski, *Zbrodnia i kara. Dzieła wybrane*, tłum. Cz. Jastrzębiec-Kozłowski, PIW, Warszawa 1955.

³⁰ F. Dostojewski, op. cit., s. 554–5.

³¹ F. Dostojewski, op. cit., s. 553–4.

szyla go „nieznana mu wcześniej tęsknota”³². Jak zbłąkany wędrowiec, wrócił w owej chwili do „domu”, do Soni, cierpliwie czekającego anioła stróża jego błąkań po życiu³³.

Raskolnikow chciał zostać nowym Napoleonem. Faust, zrodzony z niemocy poznania tajemnic wszechświata, chciał posiąść wiedzę dalekosiężną. Magister i Doktor nauk, którego pierwowzór J. W. Goethe³⁴ znał z brukowych ksiązek i widowisk jarmarcznych, był człowiekiem, który wiedziony miłością do wiedzy, zagłębiał się w tajniki różnych dziedzin nauki, wierząc, że mądrość ksiąg otworzy mu bramy do wszelkich zagadek Natury. W wiedzy, w której widział nieograniczoną moc panowania nad światem, upatrywał źródła własnej, człowieczej i nadludzkiej zarazem, potęgi. Noce i dni spędzał więc na wgłębianiu się w treści wolumenów, szarpany dwiema trawiącymi go siłami, nadzieją na poznanie nieznanych mocy kosmosu i druzgocącą świadomością ograniczonych możliwości poznawczych człowieka. Rytmikę jego życia określały Prometejskie wzniesienia i Syzyfowe upadki. Im wyżej wzbijał się umysł uczonego, tym niżej spadał duch jego ludzkiej kondycji. Nękany bezustannie poczuciem niezadowolenia z władz, którymi dysponował i wciąż bezradny wobec nieodgadnionej natury świata, w poczuciu klęski, złożył swój miecz zmagania ze skończonością. Mozolna praca i życie w całości poświęcone nauce pozwoliły mu bowiem odkryć iluzoryczność wszelkiego poznania, nieuchwytność prawd i mizериę ludzkiej wiedzy. Śmiertelnik, który jeszcze niedawno własnym rozumem uderzał w potęgę nieskończoności, zawierzył magii, oddał duszę w ręce diabła i, skoro wiedza nie mogła stać się spełnieniem życia, spełnienia tego szukał na drogach przyjemności doczesnych. Pod ochronnym płaszczem Mefistotelesa, podróżował po świecie, próbując wszelkich możliwości korzystania z dóbr, jakie świat mógł człowiekowi dać. Szukając szczęścia, doświadczał jednak pustki, radosne uniesienia okazywały się bowiem chwilowe i wciąż rodziły nowe pragnienia. Przeszedł długą drogę nim pojął, że to nie wiedza, której szukał, ale życie oddane dla innych daje potęgę i wieczne trwanie u żywych. U kresu życia, gdy oślepl i wzrok nie miał go już zewnętrznym blaskiem świata, pełen pogody ducha płynącej z wewnętrznej radości, mógł skierować do trwającej chwili prośbę, by trwała, bo jest piękna.

Faust, opanowany ideą, którą usiłował zrealizować za każdą cenę, potrzebował wielu doświadczeń, by w końcówce życia ujrzeć sens istnienia. Wiele dróg musiał też przebyć rozczytany w rycerskich opowieściach Don Kichote, skromny szlachcic Alonso Quijano z La Manczy, który uwierzył, że jest rycerz-

³² F. Dostojewski, op. cit., s. 559.

³³ F. Dostojewski, op. cit., s. 560.

³⁴ J. W. Goethe, *Faust*, tłum. A. Sandauer, Wyd. Literackie, Kraków 1987.

³⁵ S. M. Cervantes, *Don Kichote*, tłum. A. L. Czerny, Z. Czerny, Zielona Sowa, 2003.

rzem³⁵. Opętany misją zrodzoną z lektur, zgromadził niezbędne wyposażenie, zbroję i broń, i na chudej szkapie, Rosynancie, wyruszył w drogę. Przedmiotem swojego rycerskiego uwielbienia uczynił służącą z pobliskiej wsi, Dulcyneę, giernkiem, Sanczo Pansę, trzeźwego w patrzaniu na rzeczy doczesne wieśniaka, który odtąd towarzyszył samozwańczemu rycerzowi w wędrówce przez świat. W świecie tym, nieświadom ułudy własnych imaginacji, podejmował istic rycerskie wyzwania. Bił się z wiatrakami, walczył o uwolnienie galerników, toczył boje o miskę balwierza, która tylko w jego imaginacji mogła być hełmem, przedmiotem najwyższych admiracji. Nie wiedział, że w jego głowie mieszały się rzeczy codzienne z mamidlami świata wyobrazonego, grające swój wymyślny spektakl na scenie psychozy. Pragnienia wielkich czynów, marzenia o wielkości, wszystkie tęsknoty, które w zwykłym życiu i w skromnej prowincji nie mogły znaleźć przystani, przybierały kształty widziadeł, nierealnych jedynie dla tych, którzy twardo stąpali po ziemi. Z dnia na dzień, z nocy na noc, nad kartkami pochłanianych lektur, a później na drogach błędnego rycerza, rozmnażały się obłędne zwidy, organizując sobie cały Don Kichotowy świat. Marzyciel, żyjący złudzeniami, wędrowiec ograbiony przez życiową misję z rozsądku, wrócił w końcu do domu, w ostatnich chwilach swego życia odzyskując rozum a wraz z nim świadomość nieszczęsnego swojego losu.

Don Kichote wyruszył ongiś w drogę, by rycerskim dziełem zdobyć świat. Dulle Griet, z obrazu P. Bruegela³⁶, wściekła i chuda jak szczapa jędra, miała do zrealizowania misję jeszcze bardziej nieprzeciętną, celem jej wyprawy stało się diabelskie królestwo. Nocą, ciemną jak czeluście inferna, zdecydowanym krokiem zaciętej erynii, ruszyła na podbój Piekła, torując sobie drogę mieczem. Strój przywdziała stosowny do przedsięwzięcia, głowę ochroniła miskowatym hełmem, na podomkę zarzuciła półpancerz a jedną z rąk uzbroiła pancerną rękawicą, by łatwiej było jej trzymać w garści łup. Pochłonięta misją specjalną, ze wzrokiem wbitym w jeden cel, nie zważając na ludzkie mrowisko niehumanitarno opętane żądzą pieniądza, kieruje się teraz w stronę otwartej na oścież paszczy monstrualnego potwora, bramy piekła³⁷. Twory, noszące ślady majaczkliwych transformacji, tłoczyły się już na progu otchłani, okręcając się wokół własnych ciał i pełzając wśród czarcich demonów, obrzydliwych mutantów i hybryd. Wszelkie byty, które znalazły tu miejsce, podległy patologicznym zwyrodnieniom ciała, ducha i umysłu. Najbardziej zniewolona jednak pętami wynaturzenia pozostała widmowa Griet, osobliwa inkarnacja obłędu, naznaczona piętnem jakiejś lękowej psychozy, obsesyjnych urojeń albo manii prześladowczej, każącej jej na oślep przed siebie gnać.

³⁶ P. Bruegel Starszy, *Dulle Griet*, 1561, Museum Meyer van den Bergh, Antwerpia.

³⁷ E. Baccheschi, *Szalona Greta – alegoria wieloznaczna*, (w:) E. Baccheschi, F. de Poli, P. Bruegel, tłum. J. Jekiel, KAW, 1985, s. 95–97.

Szalona Greta, siłą swojego nawiedzenia zdawała się być tak niezłomna, że żadna potęga nie mogłaby przeciwstawić się jej mocy. Moc ta czyniła ją nie tylko groźną, ale i niemożliwą do pokonania, jej obłąd, przerażając, na bezpieczną odległość usuwał wszystkie przeciwności z jej drogi. Griet mogła zatem realizować swoje maniackie posłannictwo, krocząc bez zastanowienia trasą wytyczoną przez widzenia obłąkanego jej umysłu.

Nie każdy jednak szaleniec był aż tak szalony, by iść przed siebie, nie oglądając się na świat, świat bowiem okazywał się zazwyczaj silniejszy i podejmował walkę z szaleństwem różnymi dostępnymi środkami. Nie chciano obłądu w normalnym świecie, burzył społeczny ład i zagrażał bezpieczeństwu tych, którzy chcieli wieść spokojne życie. Na pograniczu schyłkowych lat średniowiecza i wczesnego odrodzenia wszystkich tych, których zachowania klóciły się z normą, podejrzewano o związki z diabłem, ta zaś diagnoza pozwalała na wykluczanie szaleńców z życia. Wypędzano ich z siedlisk ludzkich, zostawiano na obszarach bez dróg, albo też sprzedawano kupcom i marynarzom, którzy na wozach, łodziach i okrętach mieli oddalić obłąkanych od ludzi³⁸. Z czasem, w sposób zorganizowany zaczęto tworzyć przytułki i szpitale, gdzie zamykano dotkniętych wszelkimi odmianami wynaturzenia, dla wygody, dla uniknięcia skandalu i dla uciechy tych, którzy za drobną opłatą mogli przez kraty oglądać spektakl nienormalności. Wariaci traktowani jak więźniowie i kuglarze, skuleni na pryzkach i w kątach swoich cel, wiedli swój nieludzki los, pozbawieni jakiegokolwiek możliwości wyjścia.

Ci, których wypędzano w obce, nieznane światy, stawali sam na sam z bezkresem. W zamian za brak miejsca w obszarze dla nich zamkniętym, dostawali nadmiar miejsc w przestrzeni niczyjej. Za tym nadmiarem szedł następny nadmiar, nadmiar dróg, prowadzących donikąd. Na cóż bowiem drogi, kiedy nie ma dokąd pójść? Nadmiar zawierał w sobie BRAK, on zaś czynił wygnańców pokrewnymi tym, których szaleństwo ograniczano kratami zamykanymi na klucz. Jedni i drudzy byli więźniami, nie tylko własnego obłądu, ale też obszaru danego im do życia, bezgranicznej przestrzeni albo ciasnego miejsca, któremu zostali przypisani.

Szczególnego rodzaju doświadczenie zamknięcia musiało być udziałem Kaspara Hausera, który „narodził się dopiero będąc dorosłym”³⁹. Był „namiastką człowieka. Bez rozumu, bez mowy, nie cywilizowany, jak ktoś, kto spadł z innej planety”⁴⁰. Pojawił się w świecie ludzi w wigilię Zielonych Świąt z listem stwierdzającym, że żył w ukryciu. Nie miał pojęcia o innym świecie niż jego własny, ten zaś był ciemny i długi „na jakieś sześć, siedem

³⁸ M. Foucault, *Historia szaleństwa w dobie klasycyzmu*, op. cit., s. 21–25.

³⁹ Wassermann, cyt. za: M. Janion, *Larvatus proedo...*, (w:) *Galernicy wrażliwości*, oprac. M. Janion, S. Rosiek, Wyd. Morskie, Gdańsk 1981, s. 161.

⁴⁰ Wassermann, cyt. za: M. Janion, *Larvatus proedo...*, op. cit., s. 161.

stóp, szeroki na cztery i wysoki na pięć”⁴¹. Nie widział ludzi, nie wiedział czy jest noc, czy dzień. W opowieści filmowej W. Herzoga w postać jego wcielił się Bruno S., człowiek, który będąc niemal naturalnym wcieleniem Hausera, dał wgląd w istnienie przeoczonych przez los. Więziony i przetrzymywany w ośrodkach psychiatrycznych⁴², niepewny niczego i zależniony, jak ów z listem na placu miejskim w wigilię Zielonych Świąt, nie miał długo miejsca w świecie, danym ludziom do życia. Okaleczony mocą nieludzkiego wyroku, jak „namiastka człowieka” wiódł swoje istnienie na zapomnianych obrzeżach ludzkiej rzeczywistości

Bruno S. i Kaspar Hauser, przez długie lata pozbawieni przestrzeni innej niż przestrzeń zatrzaśnięta, w jakichś przedziałach danego im czasu stanęli na drogach, pozwalających iść. Pierwszy, za sprawą spotkania z Hrzogiem i postacią Kaspara, drugi, dzięki człowiekowi, który któregoś dnia wszedł do ciemnicy i wyniósł na plecach tego, który znał jedynie chleb, wodę, słomę oraz trzy drewniane, nieprawdziwe istoty, dwa koniki i psa.

Do ciemnego świata kalekich, starych i na różne sposoby niedołączonych ludzi z utworów S. Becketta, prócz postać z wiadomością od Godota, nie miał przyjść nikt. Zamknięci w obszarze niemożliwym do przekroczenia, naznaczeni piętnem czekania, egzystują, oszczędnie zużywając namiastkę możliwości, jaka została im dana. Henryk z *Popiołów* jest ślepy, podobnie jak stary pan Rooney z *Którzy upadają*. Molloy dysponuje tylko jednym sprawnym okiem, stąd też, mając problemy z odbiorem odległości dzielącej go od świata, sięga stale po coś, co znajduje się poza jej zasięgiem. Ci, którzy jeszcze cokolwiek widzą, mają wkrótce oślepnąć, podobnie jak stracić mają słuch i mowę ci, którzy jeszcze nie ogłuchli i wciąż mówią⁴³. Hamm z *Końcówki* jest sparaliżowanym starcem, który nie może ruszyć się, podobnie jak jego rodzice, którzy siedzą w kubłach na śmieci, bo kiedyś stracili nogi. Ktoś nie może wczułgać się do swojej jamy, ktoś nie może siadać, inny nie może stać⁴⁴. W tym przedziale świata, bowiem „każdy ma swoją specjalność”⁴⁵. Niekompletni i żałośni, podobni kalekim żebrakom Brueghel’a⁴⁶, usiłującym iść przez świat na protezach i kulach przymocowanych do kikutów pasami czy też pokrewni ślepcom⁴⁷, idącym na oślep trzymając się jeden drugiego, z chwili na chwilę coraz dotkliwiej tracą zdolność poruszania się, widzenia, mówienia czy słyszenia, jedyne fundamenty swojego istnienia.

⁴¹ K. Hauser, *Opisanie mojego życia w dawnym stanie spisane z pamięci* (według relacji G. FR. Daumiera), tłum. M. Łukasiewicz, cyt. za: *Galernicy wrażliwości*, op. cit. s. 117.

⁴² Wassermann, cyt. za: M. Janion, *Larvatus proedo...*, op. cit., s. 161.

⁴³ S. Beckett, *Czekając na Godota. Końcówka*, (w:) tegoż: *Teatr*, tłum. J. Błoński, PIW, Warszawa 1973, s. 123.

⁴⁴ S. Beckett, op. cit., s. 142 i nast.

⁴⁵ S. Beckett, op. cit., s. 142.

⁴⁶ P. Bruegel, *Kaleki*, 1568, Luwr, Paryż.

⁴⁷ P. Bruegel, *Ślepcy*, 1568, Gallerie Nazionali di Capodimonte, Neapol.

Nie wędrowcy, ale odwieczni włóczędzy, odziani w niemal do cna zużyte łachmany, resztkami dostępnych im możliwości funkcjonują w obszarze zawsze ograniczonym, albo poprzez stary mur, za którym „nie ma nic na horyzoncie”⁴⁸, albo przez bezmiar, który nie ma końca. Pod „niebem bez pamięci poranka i wieczoru”, gdzie „wszystko zawsze chyliło się, zsuwając się w rumowiska”⁴⁹ czasami na bagnach, mokradłach czy torfowiskach, czasami wśród piachów i kamieni, w opustoszałym pejzażu ze szkieletem drzewa, albo w nieznośnie skostniałym pokoju, gdzie „nie ma nawet prawdziwego psa”⁵⁰, każdy na swój sposób usiłuje radzić sobie z niemożliwą do skończenia końcówką własnej drogi, bardziej lub mniej uświadamiając sobie, że zarówno to, co teraz go otacza, jak i to, co w jakiejś nieokreślonej przyszłości stanowić będzie jego świat, jest nieskończonością pustki, której „nie zdołaliby wypełnić wszyscy wskrzeszeni zmarli wszelkich czasów”⁵¹.

Nieznośnie ciasna przestrzeń, w której, paradoksalnie, nie brak jedynie pustych miejsc⁵², zdaje się być całym ludzkim kosmosem. Hamm, przykuty do fotela, urozmaica sobie swoją „końcówkę” zleceniami obwożenia go „dookoła świata”, „pod ścianami”⁵³, później zaś podróżą do swoistego „centrum”, dokładnie na środek pokoju⁵⁴. Pan Knott przemierza drogę, w której stacjami i miejscami zwrotnymi są cztery przedmioty: okno, kominek, łóżko i drzwi. Podróżuje długo, aż do wyczerpania wszystkich możliwych kombinacji powiązania celów własnymi krokami⁵⁵. Dla tych, którzy nie są unieruchomieni tkwieniem w kubłach na śmieci⁵⁶, urnach⁵⁷ albo w kopcach zasypującego ich piasku⁵⁸, jedyną podróżą możliwą do odbycia jest wędrówka „tam i z powrotem”⁵⁹, sprowadzająca wszelki ruch do bezruchu. Istotą bowiem żalosnego kosmosu żalonych podróżnych jest to, że nic w nim się „nie porusza, ani nigdy nie poruszało, ani nigdy się nie poruszy”⁶⁰.

Odejść z tego świata nie można, bo należy czekać, albo na coś bliżej nieokreślonego, albo na Godota⁶¹, który nigdy nie przyjdzie. Hamm i Clov muszą

⁴⁸ S. Beckett, op. cit., s. 158.

⁴⁹ S. Beckett, *Molloy*, tłum. M. Leśniewska, Wyd. Literackie, Kraków 1983.

⁵⁰ S. Beckett, op. cit., s. 184.

⁵¹ S. Beckett, op. cit., s. 161–162.

⁵² S. Beckett, op. cit., s. 86.

⁵³ S. Beckett, op. cit. s., 153–154.

⁵⁴ S. Beckett, op. cit., s. 153–154.

⁵⁵ S. Beckett, *Watt*, tłum. M. Kędziński, Wyd. Pomorze, Gdańsk 1993.

⁵⁶ S. Beckett, op. cit., s. 141.

⁵⁷ S. Beckett, *Komedia*, (w:) tegoż: *Dzieła dramatyczne*, tłum. A. Libera, PIW, Warszawa 1988, s. 303.

⁵⁸ S. Beckett, op. cit., 269

⁵⁹ S. Beckett, *Tam i z powrotem*, tłum. A. Libera, „Literatura na Świecie” 1981, nr 4 (120).

⁶⁰ S. Beckett, *Molloy*, op. cit.

⁶¹ S. Beckett, *Czekajac na Godota*, (w:) tegoż: *Teatr*, op. cit., s. 13–14, 93 i nast.

w świecie tym zostać, bo wiedzą, że nie ma ani innego czasu, ani kosmosu, a czas i przestrzeń, które są im dostępne, to dzień i miejsce ostatnie z godziną, która jest ta „sama, co zawsze”⁶². Pozzo nie potrafi odejść, bo nie może „nabrać rozpędu”⁶³. Molloy ma świadomość, że jego region jest niezmiernie obszerny i choćby długo szedł, nigdy się z niego nie wydostanie⁶⁴.

„O kaleki, czy wasze sprawy mogą być szczęśliwe?”⁶⁵ To napis umieszczony na rewersie utworu P. Bruegela, będący gorzką refleksją nad obrazem dramatycznej egzystencji tych, którym albo los, albo własna degeneracja odebrały nogi, ciała napiętnowały nieuleczalnymi chorobami a ubrania znamionowały piętnem wskazującym na wykluczenie ze społeczności, ogonami kun, przeznaczonymi dla trędowatych.

Okaleczeni i na różny sposób ograniczeni z dzieł Becketta, z jakimś tragicomicznym samozaparciem, jeśli, w swoisty sposób, nie celebrują swoich „radosnych dni”, to wypełniają życie, takie, jakie jest, najbardziej błahymi czynnościami, by oszukać samych siebie i nie dopuścić myśli, że dni radosnych nie ma. Dni, które są, są puste, nieznośnie długie, a ponieważ nie ma w nich nic znaczącego, temu, co znaczenia nie ma, żalosne osoby nadają żalosne znaczenie. Dla zabicia czasu, którego, jak pustych miejsc, nigdy nie brakuje, wymyślają zabawy pozbawione sensu. Ktoś wymachując wszystkimi członkami tańczy „taniec sieci”⁶⁶. Ktoś ceremonialnie wyciąga szczoteczkę do zębów z torebki, odkręca tubkę i kładzie zakrętkę na ziemi⁶⁷. Ktoś inny zмага się z butami⁶⁸ i celebruje melonik⁶⁹. Fundamentalną jednak wartością bytowania w niegościnniej przestrzeni są słowa. Figury mówią niemal bez końca, wygłaszają monologi, prowadzą konwersacje, między sobą nawzajem albo z głosem zapisanym na taśmie⁷⁰. Czasami narzekają, snują wspomnienia, czasami opowiadają dykteryjki⁷¹, zapelniając pustkę czymkolwiek się da.

Ponieważ z tej pustelni czekania nie można było odejść, trzeba było mówić, zмагаć się z błahymi rzeczami, chodzić, wędrować, żeby „ocalić rozum przed szaleństwem”⁷², żeby mieć wrażenie istnienia⁷³, żeby być, żeby natrafić na sens. Molloy „śpieszył się bezustannie, jakby w rozpacz, do nadzwyczaj

⁶² S. Beckett, op. cit., s. 137.

⁶³ S. Beckett, op. cit. s. 62 (podobnie Hamm – S. Beckett, *Końcówka*, op. cit., s. 137, s. 177).

⁶⁴ S. Beckett, *Molloy*, op. cit., s. 267 i nast.

⁶⁵ P. Bruegel Starszy, *Wielcy Malarze. Ich życie, inspiracje i dzieło. Część 56*, s. 23, (dotyczy obrazu *Kaleki*).

⁶⁶ S. Beckett, *Czekając na Godota*, op. cit., s. 51.

⁶⁷ S. Beckett, *Radosne dni*, op. cit., s. 270.

⁶⁸ S. Beckett, *Czekając na Godota*, op. cit., s. 7–10, 70 i inne.

⁶⁹ S. Beckett, op. cit., s. 9, 55, 95 i inne.

⁷⁰ S. Beckett, *Ostatnia taśma Kruppa*, (w:) tegoż: *Teatr*, op. cit., s. 258 i nast.

⁷¹ S. Beckett, *Końcówka*, op. cit., s. 150–151.

⁷² S. Beckett, *Czekając na Godota*, op. cit., s. 107.

⁷³ S. Beckett, op. cit., s. 91.

bliskich celów. To, uwięziony, pędził ku jakimś wąskim granicom, to znów, ścigany, szukał schronienia w centrum. Był stale zdyszany”, „zachowywał się tak, jakby sobie torował drogę” „Był zawsze w drodze”⁷⁴. Zawsze, bowiem miał w umyśle „konieczność krążenia, krążenia bez przerwy”⁷⁵, i nawet wówczas, gdy jego kroczenie naprzód przemieniło się „w prawdziwą golgotę, bez ograniczenia stacji i bez nadziei ukrzyżowania”, nie opuszczała go nadzieja, że posuwa się wprost przed siebie, „dzień i noc w stronę matki”⁷⁶, w stronę początku.

Molloy doszedł w końcu do źródeł, odnalazł je jednak za późno. Vladimir i Estragon, czekając na Godota, który miał przyjść, nie mogli nawet rozpocząć właściwej drogi. Hamm podróżując „dookoła świata” wracał tam, skąd podróż zaczynał. W świecie, w którym „nikt nie ruszał się z miejsca, choćby nawet się poruszał”⁷⁷, koniec zawsze miał tylko początek, nie miał mieć nigdy swojego końca. Jakież mógłby bowiem być „koniec tych samotności, gdzie nigdzie nie gościła prawdziwa jasność ani pion, ani zwyczajna stałość?”⁷⁸. Cóż „tam, wśród tych olbrzymich mroków”⁷⁹ robili ci, którzy czekali? Czy rzeczywiście trzeba było, jak domniemywał Hamm, „osiągnąć jeszcze wyższy stopień cierpienia”⁸⁰, aby któregoś dnia przestano im wymierzać karę, by pozwolono im odejść?⁸¹

Paradoksalni wędrowcy Becketta krążyli w koło, chodzili tam i z powrotem, albo nie posuwali się w żadnym kierunku, nie znając powodu, dla którego został im dany „ten czas” i „to miejsce” Odpowiedzi na swoje wątpliwości nie znali również zmarli z *Wiecznego uśmiechu* P. Lagerkvista, którzy zgromadzeni w nieznanej sobie ciemności, prowadzili długie rozmowy, „żeby jakoś zabić wieczność”⁸². W dyspacie, która „trwała od nieskończonych czasów”⁸³, wspominali własne, niespełnione bytowanie na ziemi i analizowali ludzkie zachody, widząc w naturze człowieczej nienasycony głód szczęścia⁸⁴ i poczucie niezbędności własnego istnienia⁸⁵. Życie dane człowiekowi do przeżycia, wydało się im zamętem nie do ogarnienia, znaczyło zbyt wiele, by można było go pojąć. Było wieczną walką każdego z samym sobą, ustawicz-

⁷⁴ S. Beckett, *Molloy*, op. cit.

⁷⁵ S. Beckett, op. cit.

⁷⁶ S. Beckett, op. cit.

⁷⁷ S. Beckett *Czekając na Godota*, op. cit.

⁷⁸ S. Beckett, *Molloy*, op. cit.

⁷⁹ S. Beckett, *Czekając na Godota*, op. cit., s. 106.

⁸⁰ S. Beckett, *Końcówka*, op. cit., s. 194.

⁸¹ S. Beckett, op. cit., s. 194.

⁸² P. Lagerkvist, *Wieczny uśmiech*, (w:) *Proza* (wybór), tłum. J. B. Roszkowski, „Literatura na Świecie” nr 3 (152), s. 95.

⁸³ P. Lagerkvist, op. cit., s. 95.

⁸⁴ P. Lagerkvist, op. cit., s. 104.

⁸⁵ P. Lagerkvist, op. cit., s. 95.

nym poszukiwaniem drogi, którą mogliby wędrować wszyscy⁸⁶. Człowiek nie mógł na życiu się „oprzeć, stanąć na pewnym, twardym gruncie, dojść do prawdy”⁸⁷. Skazany na samotność, otoczony ciemnościami, żył bez głębokiej wiedzy, bez prawdziwej wiary. Zawsze cierpiał, wątpił, błdził, wciąż czegoś szukał, coś przeczuwał, za czymś tęsknił, „docierając aż do ostatnich kresów swojej istoty”⁸⁸.

Kiedy, nawet na drodze wspólnych dociekań, umarli nie znaleźli celu życia, postanowili ruszyć w drogę, by sprawcę istnienia „pociągnąć do odpowiedzialności za to niepojęte życie”⁸⁹. „Miliardy umarłych, suma wszystkich jednostek, jakie kiedykolwiek zaistniały w historii”⁹⁰, „nieprzebrane mrowie, człowiek przy człowieku” sformowali orszak, który po długiej wędrówce, dotarł do źródła wszystkiego, do Starca piłującego drewno na światło i ciepło dla świata. Nie wiele miał im do powiedzenia, poza tym, że miał tylko jeden cel, by „nigdy nie musieli zadowalać się niczym”⁹¹.

Odwieczni „goście w rzeczywistości”, włóczędzy, skazani na wędrówkę wyrokiem losu albo wizją wolności, więźniowie, nie znający drogi innej niż droga tam i z powrotem, wszyscy podróżni zmierzający do bardziej lub mniej sprecyzowanych celów, będą zawsze wędrować drogami wiecznego ludzkiego nienasycenia, ontycznego głodu, tęsknoty za domem utraconym albo ziemią obiecaną. Szlak nie będzie prowadził przez ogrody wiecznej szczęśliwości, ale przez „ziemię jałową”, rewiry pokuszenia, przez zasadzki ułudy oraz zakręty błędów, zbrodni i kary. Będą szli do świata, by organizować go na wzór i podobieństwo własnych wyobrażeń, albo będą od niego uciekać, mierząc się z poczuciem nieznacności własnego istnienia. Skuszą ich srebniki albo złoto, rycerskie przygody albo wiedza niedosiężna, omami szaleństwo albo wizja cudownej krainy. Pokutnicy i wygnańcy, pewni celów wędrowcy i wieczni tułacze będą szli po świętych i grzesznych drogach, będą błdzić po bezdrożach i przystawać na rozstajach dróg, w miejscu danym im do życia, nie znajdując miejsca własnego. Pójdą przed siebie, będą wracać, krążyć dookoła, stawać i zaczynać podróż od nowa, odchodząc po drodze z życia, zostawiając za sobą ślad swojej człowieczej wędrówki, kierując kroki w stronę „niepodzielnej pełni”⁹², owej całości, która była na początku.

⁸⁶ P. Lagerkvist, op. cit., s. 105.

⁸⁷ P. Lagerkvist, op. cit., s. 106.

⁸⁸ P. Lagerkvist, op. cit., s. 106.

⁸⁹ P. Lagerkvist, op. cit., s. 106.

⁹⁰ P. Lagerkvist, op. cit., s. 106.

⁹¹ P. Lagerkvist, op. cit., s. 111.

⁹² P. Ricoeur, *Symbolika zła*, op. cit., s. 159.